



NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela, 7 VIII 1955
Rok VI Numer 30

Praca nadesłana przez artystę greckiego na konkurs festiwalowy.

Dalekopisem z Festiwalu

...mówią lepiej niż słowa

Janusz Likowski

Nie jest to jakaś wielka, gigantycznych rozmiarów wystawa. Grafika ma bowiem to do siebie, że nie zajmuje miejsca. Ciekawe jednak, że właśnie ta forma jest ulubiona dla wielu artystów, którzy przez swą sztukę chcą wyrazić jakiś program ideowy, mało — często walczyć o sprawy konkretne, agitować, przekonywać, kształtować poglądy swego społeczeństwa. Tak jest i z wystawą prac graficznych i plastycznych nadesłanych na konkurs festiwalowy.

U wejścia do jednej z dwu sal „Zachęty” rzeźba więźnia francuskiego, praca Fritza Kraemera z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jest to projekt pomnika mającego stanąć na miejscu dawnego obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Rzeźba przedstawia wychudłego mężczyznę w przykrótkich, obcisłych spodniach, dzierżąc go w rękę karabin — w tym wypadku symbol wyzwolenia. Więzień, wyglądający jak współczesny sankiulot, bliski tradycjom jakobińskim rewolucji francuskiej — nie pozwoli się zamknąć za druty kolczaste. Jest już wolny — jeszcze chwila, a będzie sprawował sąd nad zbrodnia-
rzami.

Taki oto komentarz trzeba by chyba dopisać do dzie-

ła młodego plastyka niemieckiego. Może w rzeźbie gest drugiej ręki jest skomponowany zbyt patetycznie i przesadnie wystylizowany — lecz do wyobraźni przemawia.

W ogóle do wyobraźni, rozpalając ją, lub z kolei wzbudzając ły lub głuchy gniew — przemawia bardzo wiele wystawianych prac. Wspólnym ich mianownikiem jest bowiem właśnie owa pasja ideowa, nakazująca walczyć o nowy świat. Protest przeciw bezczynności bije z festiwalowej wystawy grafiki. Zobaczymy chociaż kapitalne linoryty brazylijskie. Nie znam się na plastyce tak, bym mógł szczegółowo omówić wszystkie zalety formalne prac Zracema Zoffily Esther, Rachel Neuman Strossberg, Reginy Jolandy, Reniny Katz... Wydaje mi się jednak, że rylec i noż, którymi wycinali młodzi artyści swoje portrety, krajobrazy, sceny rodzajowe — posłuszny jest ich artystycznemu i ideowemu zamysłom. Przemawia często lepiej niż pióro, niż żywe słowo. Zapada w pamięć, stwarza trwalszy obraz — pozwala wrócić do niego, by jeszcze raz przeżyć „zjawisko” sztuki od nowa.

Zracema często, jak wielu uczestników konkursu festi-

walowego, porusza temat dziecka. Anglik Hopkins, kilku Japończyków, Hiszpanka, Brazylijczyk — ciągle wracają do tematu... chyba swego dzieciństwa. Ukazują je dojrzałymi oczyma artysty. Stąd właśnie nabieramy do ich wizji takiego przekonania. Linoryt „Chłopiec” Zracemy jest czymś zastanawiającym, bije z niego smutek, beznadziejność, podobnie „Dzielnica portowa” Rachel Neuman Strossberg i wspólna w kompozycji „Gaucha” Glauco Rodrigues. Pomijam tu nagrodzone w konkursie, stylizowane trochę na meksykańsko ilustracje Reniny Katz do powieści Jorge Amado.

Każdy chyba człowiek, który głębiej przeżywa swe doznania, zastanawia się nad przyczynami tragedii, konfliktów, nędzy i upadku — chce być sędzią swego pokolenia. Nie każdemu danym jest nim zostać. Nie rzadko bojownik sprawiedliwości traci życie zapomniany, nie znany. Nie każdy umiera tak sławny jak Fucik lub Belojanis. Artystom dało jednak życie to prawo, by mówili prawdę, by prawdę głosili, by ją komentowali. Tak właśnie czynią Meksykanicy.

Kilka z ich prac już reprodukowaliśmy.

Wspaniałe drzeworyty Marii Luizy Martin, która przybrała pięknie brzmiący pseudonim konkursowy — „Salamanca”. Jej duży drzeworyt „Gwatemala” musi wstrząsnąć człowiekiem. Nad pobitymi robotnikami plantacji stoi odwrócone tyłem małe dziecko i unosi dionie do oczu. Z boku obrazu widać linią kolejową, a na niej pociąg piknący między wzgórzami. Na platformie ostatniego wagonu uzbrojony żołdak. Czyż? Wiadomo. Naprawdę niepotrzebnie już „Salamanca” dała napis na ścianie wagonu „United Fruit Company” i bez tego sprawcy zbrodni są znani. Inna praca Marii Luizy Martin to znany reprodukowany w naszym dodatku niedzielnym drzeworyt „Pokój i przyjaźń”, gdzie młoda kobieta i młody mężczyzna w łagodnym uścisku — każde jedną ręką — troskliwie otula gołębia.

Pierwsza nagrodę dostało jednak inne dzieło — zatytułowane „Terror frankistów”, autora ukrywającego się, prawdopodobnie nie z przypadku, pod pseudonimem „Oliwo”. Są to linoryty wykonane w stylu podobnym do słynnego obrazu Pablo Picassa „Wojna w Korei”. Tkwi w nich coś z dawnego malarstwa średniowiecza, albo z współczesnych Boccacemu ilustracji do „Decamerona”. W pierwszej chwili widz nie wie dosłownie o co chodzi, lecz zastanowiwszy się wyczuwa wielką ekspresję. Utwory przemawiają, dowodzą potworności, ciemnoty, sugerują zabobon, ciastnotę myślową, dyktatury faszystowskiej w Hiszpanii.

Bardziej łatwa w percepcji jest praca Japończyka — Liena Makoto, zatytułowana „Ofiara bomby atomowej” wzywa do walki o pokój (3 nagr.). Widać w niej wpływ chińskiej grafiki, lecz studia reakcji psychicznej każdej postaci stojącej nad okaleczonym, nieszczęśliwym człowiekiem — posiadają wymowę wyciskającą ły z oczu. Obraz jest sam w sobie komentarzem.

Można by tak jeszcze długo mówić o tej wystawie. O

cyklu „Warszawa” Haliny Chrostowskiej (2 nagr.) bardzo ciekawie wykonanym w technice aquaforty, o pięknych (również nagrodzonych) ilustracjach Limy de Freitas (Portugalia) do „Don Kichota”, o kilku cudnych drzeworytach chińskich. Nie, tu trzeba mimo wszystko powiedzieć kilka słów!

Młode oczy, rzeknijmy ogólnie, najostrejsze widzą życie toczące się wokół. Liu Kuang (Chiny) nadesłał na festiwalowy konkurs drzeworyt zachowany w tradycyjnym stylu narodowej grafiki. Nazwałbym go jednak „drzeworytem bohatera”. Po między dramatycznie naszkicowanymi skalistymi górami z dwu stron rzeki Ma-lu ludzie odważnie przerzucają most. Z jednej strony pracują zawieszani na linach asekuracyjnych. To właśnie jest bohaterstwo widziane oczyma młodzieży wyzwolonych krajów.

„W walce z czasem” Czaa Jen-nien komentuje w sposób twórczy budownictwo swojej ojczyzny. Rozpalone światła, dyskretne półtony, spokojność kompozycji tworzą złudzenie niemal uczestnictwa w trudnej drodze odrodzenia chińskiego narodu. Podobnie zresztą z twórczością niektórych polskich młodych grafików, czeskich i rumuńskich. Niestety w sali tej nie ma grafiki radzieckiej — o niej musimy kiedyś napisać osobno, gdyż mieści się gdzie indziej.

Wychodzi się z dwu sal „Zachęty” z głową pełną problematyki, idei — które zaszczerpił nam młodzi artyści, obywający się doskonale bez słów, tworzący sztukę po trzebną swemu pokoleniu. Nie, to mało! Oni są potrzebni całej ludzkości.

Dr Ludwik Łakomy

kierownik Muzeum Sztaszcza w Pile

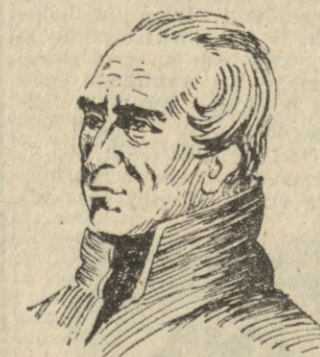
Wielki Obywatel

Wkroczyliśmy w rok, poświęcony pamięci znakomitego Wielkopolanina Stanisława Wawrzyńca Sztaszcza, który przed 170-ciu laty przez swe „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego” pierwszy wykręsał twórczy czyn z bezwładnego społeczeństwa i zaangażował się całkowicie w walce po stronie uciskanych mas ludowych.

Jego książka stała się podówczas sensacją dnia i spowodowała ukazanie się aż dwu dzieł dwu książek różnych autorów, komentujących lub zwalczających Sztaszcza program ratunku Rzeczypospolitej. Nigdy przedtem żadna inna książka polska nie doczekała się tak wielkiej poczytności i popularności, jak datowane 20 maja 1785 roku Sztaszcze „Uwagi”. Czynił to może styl wznoszący się do wyżyn najpiękniejszego patosu i sprawiła to zapewne wstępna odezwa, w której autor, jako syn zagrabionej podówczas przez Prusy Wielkopolski, wstrząsając, jak ktoś, komu serce rwie się na strzępy, przemawiał:

„Przy tym zgwałceniu prawa narodów, przy Rzeczypospolitej Polskiej krajów podzielać ja zostałem niewolnikiem króla pruskiego. Moje ciało spokojnie dżwiga niewolnicze jarzmo Prusaka, ale moja dusza wolno myśli do tyłeczka. Już uspokoiła się miłość osobista, ale miłość straconego kraju często mi to zapytanie czyni: Jeżeli nie masz dla reszty Polski ratunku?”

I oto ów Orędownik ziem zagrabionych przez wielkiego złodzieja Polski zachodniej



Fryca Hohenzollerna zwraca się „do stanu rycerskiego” goręcej niż Skarga: „Wielki narodził! Dopóki w tej nieczułości trwać będziesz? Czyliś tak ginać myślisz, aby się nie więcej po tobie nie stało, tylko niestawa? Nie masz przykładu, żeby osiadłych na najobfitszej ziemi, u-darowanych przez naturę szczególnie przymioty kilkanaście milionów ludzi bez sposobu ratunku, owszem, bez

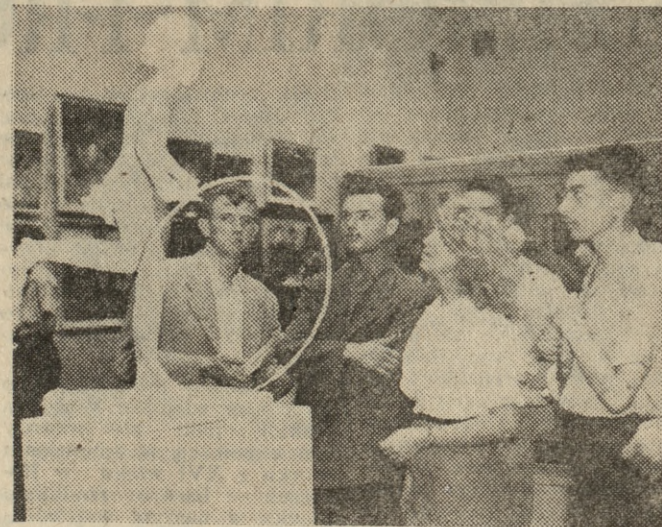
myślenia o sobie z oziębłości niewoli czekało. Upadały od dawności mocarstwa największe, ale ich sława jest nieśmiertelna, a przy ich upadku męstwo na wieki uwielbi potomność...”

Pewnie, że tak pisząc Sztaszcza mógł porwać sobie współczesnych, zwłaszcza kiedy im uprzytomnił nieludzkie środki, którymi się prusactwo przy grabieżach północnej Wielkopolski posługiwało: „W dzień szpiegowano ludzi. W nocy do wsiów i miast wpadając, wyborniejszą młodzież od żon, od dzieci z łóżek wywłóczono, do koni wiazano i bydlęcym stadem z kraju pędzono. Okropne przekleństwa, przeraźliwy wśród cichej nocy krzyk nieszczęśliwych jeszcze dzikszym żołnierza uczynił. Ani nagła śmierć czułych matek, ani prośby, ani jęczenia ledwie od starości zoligającego się ojca, który często na znak miłosierdzia prosił, aby mu życie odebrano, kiedy mu jedyny sposób do utrzymania go — syna — wydarto: nie móc żyć nie potrafiło Prusaka.

Dalej wszystkie zboża zabrano. Tu widziałem, iż żołędzia, zielskiem i drzewa liściami odżywiają się ludzie. Co powiem, jest więcej jak tyranstwo: wtenczas, kiedy jedna część naszych mieszkańców z głodu umierała, ów Fryderyk

(Ciąg dalszy na str. 3)

Sztuka młodych



„Dziewczyna z kółkiem” — rzeźba T. Borońskiego — to jeden z licznych eksponatów Międzynarodowej Wystawy Młodych Plastyków, otwartej w salach „Zachęty” z okazji Festiwalu. CAF — fot. Motil



Wielu uczestników konkursu festiwalowego porusza temat dziecka.

Na zdjęciu: Kompozycja Kazimierza Fajkona pt. „Dzieci Świata”.

CAF — Fot. Tymiński



Zatopienie złotej góry — fragment popularnej opery chińskiej pt. „Opowieść o Białej Zmiejce” w wykonaniu młodych artystów chińskich w Sali Kongresowej.

CAF — fot. Baranowski

W TEATRACH



Teatr Domu Wojska Polskiego inaugurował 22 lipca swą pracę w nowej, pięknej siedzibie w Palacu Kultury i Nauki wystawieniem dramatu Wyspiańskiego „Wesele”. Spektakl reżyseruje Maryna Bromiewska i Jan Świdorski. Scenografią jest prof. Andrzej Pronaszko. Na zdjęciu: Hetmana (Saturnin Butkiewicz) wnoszą do izby diabły.

CAF — fot. Baranowski

Przez cały miesiąc sierpień Teatr Polski w Poznaniu wystawia świetną komedię Goethego pt. „Współwinni”. (Na zdjęciu: Bogdan Zieliński — jako Alceest i Maria Bakka w roli Zofii). Wystawienie „Współwinnów” przyjęte zostało zyczliwie przez mieszkańców naszego miasta spragnionych rozrywki teatralnej również i w miesiącach wakacyjnych.



SZEROKIM FRONTEM

Zbliża się jesień. Dla pracowników powiatowych oddziałów kultury, rozpocznie się nowy etap pracy nad upowszechnieniem i podniesieniem kultury w powiecie. A praca ta ma być lepsza niż w minionym okresie. Trzeba nam wysnuć wnioski z dotychczasowej działalności, z błędów i osiągnięć.

Zabieram tu głos nie dlatego, by wyliczać wszystkie rezultaty pracy średniego oddziału. Upoważnia mnie do tego nieprzerwana 10-letnia praca na stanowisku kierownika oddziału i stwierdzenie, że wiele oddziałów kultury walczy na swoim terenie prowadzi na zbyt wąskim froncie, przy czym nie mobilizuje do tej walki wszystkich sił, jakimi dysponuje powiat.

W pracy swojej nasz oddział nie ograniczył się jedynie do 4 świetlic wzorcowych i do opieki nad Powiatowym Domem Kultury, do prowadzenia rejestru zespołów i ich występów w powiecie, ani do przesyłania do placówek kulturalnych instrukcji otrzymanych od władz wyższych. Do zadań bowiem oddziału należy także ratowanie ginącej sztuki ludowej i folkloru, ratowanie zabytków kulturalnych, szerzenie kultury historycznych postępów działaczy i bohaterów powiatu.

Ratujemy zabytki

Nasz Oddział Kultury nie tylko że pilnie śledzi 5-letnie ba-

dania prehistoryków na terenie Gieczy — warowni z czasów Bolesława Chrobrego, ale sam sprowadził, że podobne badania z dużymi rezultatami zostały przeprowadzone w Młodzikowie. Spowodował też, że władze konserwatorskie przystąpiły do konserwacji jedynej pod względem architektury ciekawego kościoła romańskiego we wspomnianym Gieczy.

Nie daliśmy też spokoju wojewódzkiemu władzom konserwatorskim, póki nie przyszyły nam z pomocą w odnowieniu dworu z XVI wieku w Koszutach — bardzo rzadkiego zabytku w naszym województwie. Gdy przedsiębiorstwa budowlane obliczały koszty konserwacji tej budowli na około 100 tysięcy złotych, sposobem gospodarczym przeprowadziliśmy odnowienie za 12 tys. zł. Pieniądze państwowe bardzo oszczędnie, różnica oszczędzona może umożliwić zabezpieczenie innych zabytków. Obecnie dworek w Koszutach mieści w sobie siedzibę Gromadzkiej Rady Narodowej, świetlicę (w odnowieniu) i przedszkole. Po Koszutach oddział nasz zwrócił uwagę na dworek o 100 lat młodszy od koszuńskiego — w Biskupicach. Niedługo wróci on do swego właściwego stanu. Drze wo już zostało zwiezłone. Konserwacja również zostanie objęta kościół w Świerkach, dworek w Nietrzanowie, pałac w Gultowach z małowidłami Smuglewicza.

Nie wolno również zapomnieć o kulturze ludowej. — o folklorze i sztuce wiejskiej. Sam przez wiele lat zajmuję się tą sprawą. Wiele światków utrwaliłem na fotografiach. Przy stałem do zbierania pieśni ludowych, nieznanych jeszcze ani prof. prof. J. i M. Sobieskim, ani Polskemu Radiu. W naszym powiecie okazało się, że śpiewa nie tylko Rauchutowa w Pławcach, ale Zaworska w Dominowie i Rajman w Piętkowie. Nie dala mi też spokoju sprawa haftu średniego. Kwitnął w naszym powiecie w XIX wieku, w okresie międzywojennym zaczął zanikać. Trzeba było zorganizować kursy hafciarskie w Ślacheńcu, Zdziechowicach, Pławcach i Środzie, aby ta sztuka ludowa na nowo ożyła w całej swojej krasie. W tym roku planujemy kurs w Komornikach i w Nekli.

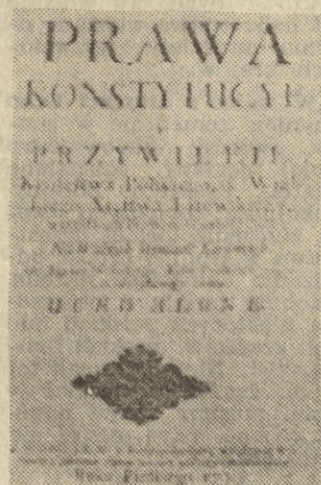
Bohaterzy naszej ziemi

Wydobywając z przeszłości to, co jest godne, piękne i pożyteczne, nie można zapominać o tych postaciach wielkich, które dały zacząć postępowi i które społeczną swoją postawą zasłużyły na pamięć. Nasz powiat średni pod tym względem jest uprzywilejowany. Nie gdzie indziej jak tu w dużej mierze rozgrywała się wielkopolska „kosynierka”. 1848 roku. Tu też rodził się i młodość spędził poeta Ryszard Berwiński, tu Estkowski — znany postępowy wychowawca ujrzał światło dzienne. Z inicjatywy oddziału chłop Polwicy zwieźli kamienie polne, by postawić obelisk — urodzinemu w ich wiosce autorowi „Księgi życia i śmierci”, jednemu z pierwszych badaczy zwyczajów i obyczajów ludowych. W tej chwili myślimy o uroczystościach ku czci wspomnianego już wybitnego pedagoga polskiego Ewarysta Estkowskiego. A to z okazji setnej rocznicy jego śmierci.

Tego szerokiego frontu kulturalnego nie mógłby nasz od-

ział organizować, gdyby nie pomoc Powiatowego Komitetu Partii. Nie tylko pomoc, ale i zachęta. Nie mogę tu nie pominąć zgodnej współpracy ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej. Uważamy, że sprawa kultury powiatu jest naszą sprawą wspólną. Należy do niej zawsze ofiarne dążeń. Nie kto inny, jak znana twórczyni zespołu pięć kowskiego „taśtoków” — Tomczakowa, pomogła nam w ratowaniu zabytków przyrody, mobilizując cały młody i stary Dębicz do opieki nad parkiem. Ten dobry przykład przy współpracy Pow. Zarządu Leśnictwa staramy się przenieść na inne podworskie wioski.

Nie piszę tu o trudnościach i kłopotach, na jakie Oddział napotykał. Jeździło się wprawdzie wiele lat na własnym rowerze od wioski do wioski za zabytkami i na kontrolę kursów, aż opończy się zdarzyło. Choć dążyć się i pisać w deszcz, śnieg i upał. Ale trudności są po to, by je łamać. Sądzę, że w każdym powiecie jest „coś” do ocalenia, czy to będzie sztuka ludowa, czy zabytki. Jest i wiele do wydobywania z nurtu postępowego, przewijającego się w dziejach. Bo to wszystko razem z dobrą pracą świetlicową, oświatową, z upowszechnieniem wiedzy rolniczej i ze śmiałym rzutem w lepszą przyszłość — składa się na nową naszą kulturę.



Księga praw
Królestwa Polskiego i Litwy
z r. 1793
Fot. (2) K. Przychodźki

W niskich drzwiach kierownik agencji pocztowej zgłębiał się w pół, jakby w ukłonie przed gospodarzem, który pochrykiwał wyczekująco. Zobaczyłem jego szczeroką głowę, osadzoną na muskularnej szyi, w świetle lampy połyskującą skórę na twarzy.

— Prosimy — zagrzmiął, otwierając drzwi na oścież. Był w spodniach z brązowego materiału, koszula w ciemne paski, wydymała się na pełnym ciebie.

Wytarłszy rękę o sztruks, podał ją kierownikowi i nie puszczając wciągnął go niemal do wnętrza. To samo uczynił ze mną.

— Prosimy — rzekł teraz nieco ciszej.

Mój towarzysz za progiem wyprostował się szybko jak gumowa lalka. Miał na sobie wyswiechtany mundur koloru khaki, a do ust przyklepiony konwencjonalny uśmiech. Zdjął czapkę z okutym daszkiem, nad którym krzyżowały się dwie trąbki.

Znaleźliśmy się w zasobnie, choć dość osobliwie urządzonej sieni. Nad niskimi z mejskimi zasłanymi łóżkami wisiały obrazy w dwóch rzędach. Święci przegladali się w lustrze szafy. Umeblowania dopełniała zwykła, z grubszą ciętą ławą, kilka zydeków i stół. Ten meblowy galimatias kłócił się wyraźnie ze stylem wnętrza, nieotynkowanego, przykrytego belkowanym sufitem.

— Dobry wieczór — usłyszałem z boku.

Z ciemnego kąta pokoju wysunęła się w krag światła kobieta w ciastym swetrze, który opinał jej bujne kształty. Twarz miała młoda, obramowaną kruczymi włosami, spiętymi w koronę. Z przyjemną całością dysharmonizowała jedynie fałdka tłuszczu na brodzie.

— Niech towarzysze usiądą — rzekła filuternie, akcentując „towarzysze”.

Zza bieder kobiety wyjrzała rozczochrana główka dziewczynki.

— Anula, uspokój się — ofuknęła ją matka.

Kierownik agencji pocztowej szurwał krzesłem i siadł, zatapiając bystre spojrzenie w szeroki oblicz gospodarza.

— No, panie Chyży — rozpoczął —

Na tropach bezmyślności

TAJEMNICA PIWNIC PRZY UL. CHOPINA • DZIWNY PROTOKÓŁ I JEGO AUTORZY • DLACZEGO NA PRZEMIAL, OB. KIEROWNIKU? • LELEWEL I MOCHNACKI PROTESTUJĄ...

Upał wyludnił ulice miasta.

Pusto również i w Bibliotece Miejskiej we Wrzesni, do kąd skierowaliśmy swe kroki. Okazało się, że nie na próżno. Na stole leżały cztery grube, podniszczone inkunabuły — dziwnie wyglądające wśród współczesnych książek. Zaintygowani patrzyliśmy na tytuły: „Prawa Konstytucyjne i przywileje Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego”.

— Czy książki te można również wypożyczyć? — pytamy bibliotekarkę.

— Nie, przysłano je właśnie dzisiaj z miejscowego Wydziału Kultury w celu przekazania do Poznania. Są to książki, pochodzące z bibliotek podworskich — dodaje po chwili.

Pytamy o pozostałe.

— Oddano je ostatnio na makulaturę — wyjaśnia dalej bibliotekarka.

Oburzenie, jakie wyrażamy nie tu oczywiście nie pomoże. Należy zbadać sprawę dokładnie i ustalić winnych. Nasza rozmówczyni jest wyraźnie zaskoczona. Pośladka co prawda spis wszystkich książek i po chwili wahania dostajemy go do rąk. Wśród 166 pozycji wyławiamy m. in. takie jak: Staszic — „Uwagi” 1861, Lelewel — „Dzieje Polski” — 1830, Mochnacki „Powstanie Narodowe” — 1863, Lelewel „Panowanie Stanisława Augusta” — 1847, Callier „Bitwy i potyczki” — 1887...

Nagabywana przez nas bibliotekarka stara się odtworzyć dotychczasową historię książek: Po parcelacji majątków — książki przejął Wydział Oświaty. W r. 1948 część książek leżących w nieładzie przy ul. Kościuszki przekazano Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. Resztę „wybrał” ówczesny inspektor oświaty ob. Janowski i przechowywał je na werandzie domu, w którym mieścił się Wydział Oświaty. Książki wraz z Wydziałem wędrowały następnie z ul. Kościuszki na ul. Gnieźnieńską a stamtąd wydawały ostatecznie w piwnicach PRN przy ul. Chopina. Od tego czasu, tj. 1952 roku słuch o nich zaginął.

Na dobre rozgorączkowani pedymy do Wydziału Oświaty.

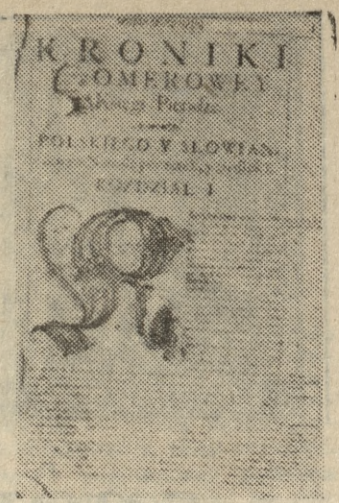
Niestety, nie ma kierownika, a obecny urzędnik nie może nic konkretnego powiedzieć.

Idziemy jeszcze zobaczyć miejsce, w którym leżały podobno książki. W piwnicy panuje wilgoć i bałagan. Pośród skrzyń z aktami Wydziału znajdujemy leżące w nieładzie nie mieckie leksykony i polskie powieści... To, co zostało.

Tak więc — urzędnik nie może zaspokoić w 100 procentach naszej ciekawości. Zaspokoić ją natomiast częściowo pisemno Wydział Oświaty PRN we Wrzesni nr 0-31/28/55 z dnia 30 lipca br., z podpisem kierownika ob. Bolesława Jachimczyka.

Czytając pismo ze zdumieniem dowiadujemy się, że kierownik Powiatowego Archiwum Państwowego w Gnieźnie, w czasie kontroli Archiwum we Wrzesni 5. 5. br. w protokole pokontrolnym umieścił wzmiankę, że „znajdujące się książki nadają się na makulaturę” oraz „zalecił, aby sprzedać nie tylko wszystkie książki niemieckie, lecz także i polskie, gdyż literatura znajdująca się w archiwum jest ze starych wydań przedwojennych o idealistycznym i faszystowskim światopoglądzie i jest bezwartościowa”. W myśl tych „zaleceń”, wszystkie książki niemieckie zostały przejrane, wartościowsze pozycje zostały wydodrębnione (??) (przyp. aut.) i pozostawione, a resztę w ilości 270 kg sprzedano. „Książki polskie pozostają nadal w Archiwum” — czytamy w dalszym ciągu pisma Wydz. Oświaty.

W istocie widzieliśmy parę książek mniej wartościowych — w tym ani jednej z uwidocznionych we wspomnianym już spisie bibliotekarki. Może znajdują się w innym pomieszczeniu, którego nam nie udostępnił? „Zaznaczyć trzeba...” — czytamy dalej — „że kierownik Archiwum w Gnieźnie niektóre z książek będących w archiwum przegladł i powiedział, że są bezwartościowe, a później osobiście polecił składnicy odpadków użytkowych aby



Księga pierwsza
Kroniki Kromera

zostały one przyjęte. (?! — przyp. aut.). W rozmowie z nim na temat ewentualnego przekazania książek do biblioteki, wojewódzkiej oświaty, że „tego rodzaju pozycji jest wiele wszędzie, nikomu nie są one potrzebne i winny być wykorzystane jedynie na przemiał” (podkr. red.).

Tyle suche fakty, mówiące o niezmierzonym wprost bezmyślności pracownika, który racji zajmowanego stanowiska jest szczególnie predestynowany do troskliwej opieki nad wszelkiego rodzaju książkami i drukami. Kwalifikowanie dzieł Lelewela, Staszica i Mochnackiego jako literatury „o faszystowskim poglądzie” nie wymaga chyba komentarzy. Stanowi jednak ostrzegawczy sygnał przed wulgarną, bezmyślną interpretacją naszej historii i tradycji przez domorosłych „społecznych” nadgorliwców. Z drugiej strony cała sprawa świadczy o bełkotliwości i braku krytycyzmu u pracowników Wydziału Oświaty i Kultury PRN we Wrzesni, którzy nie potrafili przeciwstawić się „zaleceniom” kierownika archiwum z Gniezna.

Jeżeli książki znajdują się w składnicy — błąd można jeszcze naprawić, odbierając je bezzwłocznie z powrotem. Nie wątpimy, że Wydział Oświaty PRN we Wrzesni dołoży wszelkich starań, aby uratować skazane na zagładę książki i powiadomi nas o ostatecznym wyniku, zwłaszcza że los 162 książek polskich, uwidoczniomych w spisie Biblioteki Miejskiej, w dalszym ciągu pozostaje niewyjaśniony.

Włodzimierz Scisłowski
Lech Konopiński

Ze starych szpargałów

A psik!

Jeden ze starszych mieszkańców naszego województwa zwrócił się do nas o podanie ciekawych szczegółów uprowadzenia zwyczajaj zazywania tabaki.

Wzmiankę znaleźliśmy u wspomnianego już w paru ciekawostkach szpargałowych — Jędrzeja Kitowicza. Według niego zwyczaj zazywania tabaki zapanał za królów saskich. Największej sławy zaś za Augusta III zazywała tabaka, produkowana przez Włoszkę z Syrakuz, która siebie podpisywała Syrakuzana, a którą popularnie przezwano (prosimy wybaczyć wyrażenie) — Srajkozina.

Z czego robiła swoją słynną tabakę? Postulujemy: „Tytoń, lawenda albo olejek pomarańczowy, starczan miedzi, uryna ludzka dla lepkości... Starczy — co? Pomysłowa Włoszka na tej tabace dorobiła się kamienicy w Warszawie i... zięciów-szlachećców.

A teraz — a psik!

Polecam kaliszan!

W czasie upału dobrze ochłodzić się kaliszaniem, który cieszył się przed 300 laty powodzeniem na stołach pańskich. Ks. Jędrzej Kitowicz w swoim Opisie podaje „ad memoriam perpetuam” (na wieczną pamiątkę) taki przepis: „Jest to mieszanina z piwa, wina francuskiego, soku cytrynowego, cukrem osłodzona i chlebem utartym zakruszona”.

Tę ciekawostkę podajemy dlatego, iż napój ten — jak mówi nazwa — pochodzi z Kalisza — z terenu naszego województwa.

A więc pijemy kaliszan.

(P.)



Dworek w Biskupicach z XVIII wieku zmieni niedługo swój wygląd

Czesław Michniak

JĘCZMIEN

Opowiadanie

krzywiąc usta. Przeleciał po mnie wzrokiem.

— Dziadami nas robią — rzekła prędko gospodyni — żeby zdać mięso, kury musimy biec...

— Ech — westchnął chłop.

— Ała — ziewnęła kobieta.

— Lala — pisała sennie dziecko.

Kierownik obojętnie bębnił palcami po stole.

— Żona na zebraniu w sprawie 1 maja. Przeciągnie się chyba do północy — zauważył. Nagle lewy jego policzek drgnął jakby ukłuty szpilką, lewe oko błysnęło niespokojnie, lewy kącik ust wydłuził się w kierunku ucha. W czasie wojny mój znajomy nabawił się jakiejś nerwowej choroby, na którą zapadał w chwilach silnego rozdrażnienia. Objawiała się paraliżem lewej części twarzy, niedowładem nogi i ręki.

— No, ale męczą teraz naród — rzekła gospodyni jakby pokrzepiona widokiem kierownika.

Gospodarz spiorunował ją wzrokiem.

— Każdy pracuje wedle swojej hłni — odezwał się pojednawczo. — Pan kierownik stempluje i czasami przypomina o obowiązkach... — A my, kto? Pijawki? — ciągnął teraz z wyraźną kpina. Popatrzył na mnie z ciekawością.

Kierownik bębnił dalej palcami po stole.

— Pijawki — powtórzyła żona ze śmiechem.

— Lala — pisała dziewczynka i podrapała się w głowę.

Kierownik ożywił się.

— 1 maja odbędzie się w szkole akademii — rzekł — Wasza starsza córka pięknie śpiewa w chórze. Na prawdę pięknie. I taka chętna. Moja stara ją lubi.

Żona kierownika agencji pocztowej była nauczycielką.

— Ładnie — podkreślił ojciec, dotykając palcami wasa.

Matka odeła dumnie wargi. Młodsza latorośl uszczypnęła ją w łydkę i kobieta dała jej klapsa.

Kierownik milczał.

— To jest pan redaktor — powiedział, przeskakując nagle na mój temat.

Zaczerwieniłem się.

Chłop zrobił jakiś ruch ręką. Gospodyni wstała, wyszła do kuchni. Dziewczynka, pozbawiona jej opiekuńczych skrzydeł, zwinęła się w kłębek na ławie.

— Zebranie nie skończy się przed północą — rzekł kierownik.

Chłop kiwnął głową.

— Daj nam rzeźbione kieliszki — rzucił do żony.

Na stole znalazła się ewiartka wódki, zaprawionej czymś czerwonym, wianek suszonej kielbasy i wielkie pądy chleba na talerzyku w kwiatki.

— Zdrowie prasy! — gospodyni podniosła kieliszek.

Przegryźliśmy, po czym kierownik rzekł markotnie:

— Mam zmartwienie z tym moim poletkiem. Teraz znowu ziarna mi zbrakło. Byłem w spółdzielni, nie ma... U Witka nie ma...

Chłop kiwał głową. Gospodyni należała do kieliszków.

Wielki, dla wielości zbóż wywieść nie mogąc, połowę zboża rzucać w wodę i w błoto rozkazał.

Już za czasów Staszica nie brakowało pisarzy, którzy w swych utworach przejawiali gorącą miłość Ojczyzny, ale żaden z nich nie miał wyrazić tego uczucia w sposób równie serdeczny i przejmujący jak nasz znakomity Wielkopoleńczyk. To tylko ci, którzy po raz pierwszy poculi się wolnymi, mogą zrozumieć u niesienie, jakie Staszic wyraża w „Uwagach”, pisząc:

„Polskiego oddech powietrza zdawał mi się niewiejszym i wiatr stamądnął niosł w sobie coś miłego. Niebo nad tym krajem było czystsze i jaśniejsze, drzewa i łąki zielonejsze, pasterze i pasterki weselsze. Chłop nawet za pługiem żywym tonem woły poganiał. Rzecz większą uważałem: płaćtwo z południa za północ przenosząc się dopóki nad innymi krajami leci, bojaźliwe i posępne bywa; ani z wesołością śpiewać, ani nawet z żalostí świerkoczyć nie śmie; boi się piórkiem szelestu uczynić. Skoro na polskiej stawa granicy, natychmiast krzyczy wesoło...”

A chyba wszyscy, którzyśmy przetrwali straszną dobę okupacji hitlerowskiej, rozumiemy Staszicowską plastyczność i przejmujący obraz kraju deptanego przez prusacko:

„Po ziemi, jak gdyby na postrach, okropne cienia łażą. Każdy, nie nie widząc wszystkiego się lęka. Człowiek bez zaufania przed człowiekiem stoi. Nikt się nikomu z niczego nie zwierzy. W głębokim milczeniu tylko zbroi i broni. Przeraził się słysząc brzęki, a wokoło zawdy gotowe i na wszystko odważne żołnierstwo czeka tylko skienia, kogo porwać, zniszczyć lub zgubić. Tak właśnie jak teraz ten jastrząb ową niezliczoną, ptaków gromadę przed sobą pedzi, płoszy albo uderza, tak jeden tam człowiek wszystkich ludzi w bojaźni trzyma, rozkazuje im i z wszystkich pożytkuje”.

Staszic wskazywał, jak takiego losu dotąd jeszcze wolni Polacy uniknąć mogą, co w danym momencie dzisiaj i w danych warunkach w Polsce uczynić należało: „zostać obywatel”, a nie

paszytem, nie ciemiężcą chłopstwa i mieszczaństwa.

A „zostać obywatel” — głosił Staszic — jest wyzuc się, czyli oddać swoją wolę i moc towarzystwu (społeczeństwu) całemu, więc nikt do niewoli, ale każdy rodzi się do posłuszeństwa. Człowiek wten czas wolność utraci, gdy być posłusznym przestaje. Najistotniejszym przymiotem wolnego obywatela jest posłuszeństwo. Ale jest to posłuszeństwo — prawu. Oto obywatel „nieszczęśliwym rzadko, a złym nigdy być nie może, tylko gdy prawu posłusznym nie będzie. Z tego, co powiedział, domyśla się każdy, jak wielkim artykułem edukacji (wychowania) obywatela powinno być posłuszeństwo”.

Były to wskazania w Polsce feudalnej tak nowe i tak niezwykle, że zdołały obudzić lepszą część społeczeństwa, która wsłuchując się w Staszicowskie „sposób ratowania Polski od podziemia” została wstrząśnięta do głębi piórnym apelem autora „Uwag”, piszącego w podsumowaniu: „Ja, urodzony w wolności, którą uwielbiam, przymuszony do niewoli, w której jęczę, stanęliśmy się wolności zdrajcą? Czyliż się odważyć radzić Polakom wybór niewoli?... A po dziś dzień aktualne są słowa Staszica, że „kto wolności ofiar czynić wzbiera się, ten niegodnym wolności darów staje się. Polacy, bez poświęcenia wolności utracą. Po zgubieniu wolności zostaje im się do zachowania narodowości, to jest plemię narodu, sława, imię Polaków, język, związek z swymi ojcy, dziedzictwo chwały cnotliwych przodków i jestestwo w Europie”.

Koło programu Staszica skupili się reformatorzy Sejmu Czteroletniego i twórcy ustawy majowej. Staszicowe „Uwagi” jako wciąż żywy i odnawiający się czyn stanowiły skarbnicę mądrości politycznej, z której czerpali przez długie lata działacze patriotyczni ożywiani wskazaniem Wielkiego Obywatela miłasta Piły, że „paść może i naród wielki, zniszczyć... tylko nikczemny”.

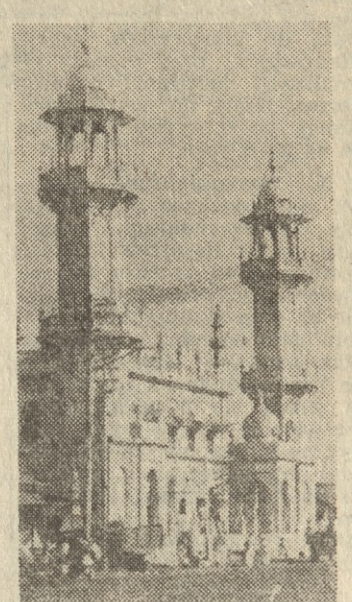
Ludwik Łakomy

Spotkanie z Ahmedem

W porcie Karaczi nie ma dźwięków mechanicznych ani elektrycznych. Te, które widzę na nadbrzeżu — to stare hydrauliczne dźwigi angielskie. W innych portach indyjskich główna siła robocza są ludzkie ręce, więc dźwigi antyki, chociaż dawno zniknęły już z wybrzeży Europy — tutaj są prawdziwym portowym luksusem i cudem techniki. Nasz „Walter” musi ciągle manewrować, ustawiając się pod linową winclę, co oczywiście jest utrapieniem załogi.

Statek, który w Szczecinie może być rozładowany w ciągu trzech dni, tu stoi dziesięć albo piętnaście i nikogo to nie dziwi. Robotnicy są rozgadani prawie tak samo jak kupcy. Pracują co najmniej 12 godzin na dobę z krótką przerwą na obiad. Garstka ryżu lub kaszy podanej na liście — to ich główne pożywienie. Obiad kończą zapaleniem skróconego liścia, którego silny, nieprzyjemny zapach nieczym nie przypominał mi tytoniu.

Żaden z mizernie odzianych robotników, którzy dzisiaj pracują



Białe pałace w Karaczi są własnością bogaczy

na „Walterze”, nie wie, czy jutro spotka go to szczęście, czy będzie wybrany rankiem z tłumy przy bramie portowej, czy będzie mógł zarobić parę anów. Jeden an, to suma, za którą uliczny żebrak głośno przeklina ofiarodawcę. Od tej więcej niż głodowej dniówki doker pakistański musi odliczyć bakszysz dla formena. Nie ma tu też mowy o jakichś ubraniach ochronnych czy rękawicach bez względu na rodzaj pracy.

Łatwo zauważyć, że w porcie robotnicy inaczej odnoszą się do nas niż do marynarzy angielskich. Są zyczliwi i często... dziwni. Nam natomiast nie wydaje się dziwne, że opatrzymy ich skaleczone ręce, że dajemy podczas pracy słodką wodę do picia, że traktujemy ich jak ludzi. To właśnie ich dziwi...

Stary winclmen Ahmed Mehmed poprosił mnie raz o zapalną. Po częstowaniu go papierosem. Stał się bardzo rozmowny. Dowiedziałem się, że ma sześcioro dzieci i żonę, jego zaś dumą i największym szczęściem jest własny domek.

Ahmed nie posiadał się z radości, gdy dałem mu kilka kawałków mydła. Już w pierwszej naszej rozmowie poczułem, że nienawidzi Anglików. Rozmawialiśmy codziennie, omawialiśmy ze sobą wiele spraw. Zaprzyjaźniliśmy się. Opo- wiadając mi historię swojego kraju, Ahmed zaś snuł swoje horoskopy polityczne: widział Pakistan bez Anglików i Amerykanów. Nie mógł jednak zrozumieć, że jakieś inne jeszcze przemiany mogą nastąpić w jego kraju, że może nie być głodnych.

Polska interesowała się bardzo i dziwił się, dlaczego kiedyś przed wojną nigdy do Karaczi nie zawiąły statki z białą-czerwoną banderą. Wtedy wytłumaczyłem mu dokładnie, na czym polegała zmiana w mojej Ojczyźnie. Opo- wiedziałem mu naszą drogę i walkę.

Ahmed nagle zapytał: — Are you communist? — Yes — odpowiedziałem twierdząc. I to była moja ostatnia rozmowa z winclmenem.

Więcej do mnie nie podszedł, nie zapraszał do swojej glinianej lepiarki, omijał nas z daleka. Myślałem, że to koniec znajomości, że nie więcej nie dowiem się od Ahmeda. Ale — nie.

Kiedy „General Walter” powoli odchodził od nadbrzeża Karaczi — trapiły podał mi zabrudzoną kartkę-list. To Ahmed zegnął się ze mną.

Już na pełnym morzu odcyfrowaliśmy trudne dla Ahmeda, ledwo zrozumiałe dla nas słowa.

Ahmed tamana angielszczyzną, bo do szkoły nigdy nie chodził — znowu się dziwił. Powtarzał coś o niezwykłym dla niego ludzkim traktowaniu takich jak on i pisał też, że jego wiara nie pozwalała mu obcować z komunistami.

W Karaczi dzieci Ahmedów są głodne i obdarne. Nie chodzą do szkoły. Życie nauczyło je rozpoznawać bandery w porcie i po polsku mówić „wuj — ratuj”.

Ala przecież przyjdzie czas, kiedy Ahmed i jego dzieci przestaną się dziwić i uderzać, że głód nie jest koniecznością, która z anami składanymi w meczecie — zapewni im wieczne szczęście.



Windy „Waltera” obsługiwał stary winclmen — Ahmed Mehmed (zdjęcie autora)

Ze wspomnień „bywalców operowych” (5)

Końska panika

Ze zwierzakami na scenie zawsze były kłopoty. Pamiętam wystawialiśmy „Lakmę”. W słynnej indyjskiej scenie jarmarcznej z trzeciego obrazu licho nas pokusiło, aby na scenę wprowadzić zwierzęta. Rekord popularności i największy sukces zdobyło wówczas uparte ośliko, wypożyczone z Ogrodu Zoologicznego. Wiadomo, osły bywały uparte, ten zaś w uporze przewyższył najwybitniejsze osły świata. A może mu się na scenie tak bardzo podobało? Może poczuł nagły przypływ artystycznej weny? Niejednokrotnie zdarzało się to i osłom! Fakt jednak pozostał faktem, że nasze ośliko nie chciało zejść ze sceny. Sytuacja zaczęła się mocno komplikować. A osioł nie. Zaparł się przed wejściem do świetlni i ani drgnął! Z kłopotu wybrał nas młynarz, który obeznany z osłimi manierami, wyciągnął z niego rękę za kulis i szarpnął osła za ogon. Wtedy zwierzak kwiknął sobie zdrowo i pomknął naprzód. Bardzo się to publiczności podobało!

Pamiętny prolog

Niemiała historia przydarzyła się też z konnicą w prologu do „Strasznego dworu”. Dawniej osiem rycerzy — husarzy dosiadło dziesięć koni i cały ten zbrojny i bogaty zastęp przejechał przez sce-



Karol Urbanowicz jako „król piekła” w operze Weinbergera „Szwanda — Dudziarz”

nę budząc podziw widowni. Zwykle wypożyczano konie wojskowe, stare wygi, przywykłe do orkiestry wojskowej, do gwaru i zgiełku. Tym razem, o czym nie wiedzieliśmy, dostarczono koni — rekrutów. Zwierzęta dopiero oswajały się z życiem wojskowym, które widocznie nie budziło w nich zachwytu. Dość, że z konikami nie można było dać rady. Gryzły się między sobą, kopwały, waliły kopytami. Koniec świata! Myśleliśmy, że wszystko to się jakoś wygładzi, ale nie z tego nie wyszło. Katastrofa nastąpiła na generalnej próbie. Zdenerwowane nieznanym środowiskiem zwierzęta roznieśli po prostu dekoracje. Artyści w popłochu znikali ze sceny jak kamfora. Z trudem tylko udało się żołnierzom uspokoić konie. Szczęście, że wydarzyło się to na próbie generalnej. Na normalnym przedstawieniu powstałaby na pewno panika. Odtąd byliśmy bardzo ostrożni i raczej rezygnowaliśmy z tych nieobliczalnych statystów.

Mascagni dyrygował w Poznaniu

Tymczasem premiera gonila pre mierę i nasze życie operowe toczyło się wariatko i bujnie. Publiczność poznańska urzała „Peer Gynta”, „Pajace”, „Borysa Godunowa”, „Legende Baityku”, „Krakowiaków i goralów”, „Wesele Figara”, wszystkie opery Ludomira Różyckiego: „Erosa i Psyche”, „Casanova”, „Młyn diabelski”, „Pana Twar dowskiego”, „Beatrix Cenci”, „Go-

plane” — Zelenkiego. „Pomstę Jontkową” — Wallek — Walewskiego, „Dalibora” — Smetany, „Don Juana” — Mozarta, „Uczte sztyderców” — Giordana (po raz pierwszy na scenie polskiej), „Fidelio” — Beethovena, „Mazepe” — Czajkowskiego, „Juliusza Cezara” — Haendla, „Ijole” — Rytla, „Quo vadis” — Nougese, „Samsona i Dalile” — Saint-Saënsa, „Polawiacy peret” — Bizeta, cały repertuar wagnerowski i moniuszkowski oraz wiele, wiele innych dzieł operowych. Dyrekcja Piotra Stermicza — Valcrociaty obejmująca siedmioletnie, od roku 1922—1929, to może najlepszy okres rozwoju naszej przedwojennej Opery poznańskiej, która już wtedy zajęła pierwsze miejsce w kraju. Wespole naszym znajdowały się takie sily, jak Ewa Bandrowska, Zygmunt Zaleski, Zygmunt Wojciechowski, Stefan Barański, Adam Ludwig, Stanisław Drabik, Stanisław Tarnawski, Zofia Fedyczkowska, Kazimierz Czarnecki, Witold Szpingier. Reżyserowali: Maria Janowska-Kopczyńska, Zygmunt Zaleski, Stanisław Tarnawski i... Karol Urbanowicz. Głównym scenografem był Zygmunt Szpingier, wziętym dekoratorem Stanisław Jaroński, a stałym baletmistrzem Maksymilian Statkiewicz, któremu balet nasz bardzo dużo zawdzięcza. W tym czasie przybywa do Poznania sławny kompozytor Pietro Mascagni i dyryguje swoją operę „Cavalleria rusticana” i operami „Pajace” i „Aida”. Na przedstawieniu swojej opery „Manru” jest też Ignacy Paderewski. Potem następuje dyrekcja Zygmunta Wojciechowskiego i Zygmunta Latoszewskiego. Kryzys daje się coraz bardziej we znaki i widownia opery naszej, rzecz dzisiaj nie do pomyślenia, świeci nierzaz pustkami. Powodzeniem cieszy się klasyczna operetka, której naprawdę wspaniały i wysocy artystyczny rozwój przypada właśnie na te czasy. Triumfy święcą tu Jadwiga Fontanówna i Józef Sendecki, których kreacje operetkowe po dziś dzień żyją w pamięci starszych poznańskich. Przerwała też sława takich komików operowych jak Władysław Bratkiewicz i Bolesław Fotygo-Folański.

Byłem królem diabłów

Modnemu wówczas futurystomw nasz opera również złożyła swój haracz. Według ówczesnych szablone w reżyserii Ludwiga wystawialiśmy wówczas „Cyrulika sewilskiego”. Był to spektakl par excellence eksperymentalny. Na scenie nie było żadnego sprzętu, charakterystyka przestylizowana, na głowach czerwone, niebieskie, zielone peruki. Mimo to przedstawienie cieszyło się wielkim powodzeniem, bo wszystkie partie śpiewano pierwszorzędnie.

Pamiętam, reżyserowałem wtedy czeską operę komiczną „Szwanda — Dudziarza”. Równocześnie wystąpiłem jako tłumacz libretta. Rolę główną śpiewał baryton Aleksander Karpacki, ja byłem królem diabłów. Grzałem się w piekie przy rozpalonym piecyku, czytałem piekielną gazetę, a te gierki wynikające ze stylizowanego charakteru przedstawienia mimo woli przyciągały uwagę widowni a odrywały ją od głównej roli Szwandy. Karpacki całkiem niesłusznie wściekał się, że psuję mu nastrój. Kiedyś żadne tłumaczenia nie odnosiły skutku, postanowiłem dać mu wręcz powód do gniewu. Umówiłem się z partnerem, który grał rolę mego diabelskiego sługacza i obaj poczęliśmy wyprawiać takie dziwne, że publiczność patrzyła tylko na nas, a piękna rzeczwiście aria „poszła w nieznane”.

Na podstawie wspomnień Karola Urbanowicza, spisał:

STANISŁAW KROKOWSKI

(Dokończenie nastąpi)

— Jęczmień chciałem zasiać — powiedział szybko kierownik.

Wielka twarz gospodarza pochyliła się nad stołem.

— Jęczmień? — wymierzył w sufit i chlapiął resztą spirytusu o podłogę. Dziewczynka spała skulona na ławie.

— Pół hektara — rzekł kierownik.

— A Witka nie ma...

— W spódnicy bida, u Witka bida — westchnęła gospodyni.

Chłop kiwał głową okrągłą jak globus.

— Jak trwoga, to do Boga — zaśmiała się gospodyni. Ziewnęła.

Kierownik uśmiechnął się, że nie słyszy.

— Mogę wam sprzedać — rzekł obojętnie gospodarz.

— Zapłacę za miesiąc — powiedział kierownik, prostując się. — Po pensji...

— Wy nie żając — rzekł spokojnie chłop. Ścisnął w rękach kieliszek — zresztą żab za żab, usługa za usługę... Żeby tak z gromady nakaz zapomnieli wysłać — poddał myśl — albo...

Kierownik agencji pocztowej chrząknął znacząco.

— 30 kilo — powtórzył jakby się bał, że zdobycz ucieknie mu z ręki. — Przyjdź jutro z workiem, a pieniądze po pierwszym.

— Niech tak będzie! — chłop wznosił do góry szkołę. — Zdrowie prasy!

— Pan kierownik nie żając — rzekła gospodyni — my ludzie miłośnicy, chociaż bidni — przepiła do mnie — trzy kokoszki jutro odniosę na kontyngent...

Ktoś zapukał w szybę, w oknie zamajaczyła okrągła kobieca twarz.

Za chwilę do pokoju weszła żona kierownika, mała i krępa. Oczy miała duże, trochę wysadzone na zewnątrz. Podawała mi palce, poplamione atramentem.

Kierownik wstał.

— No, zagadaliśmy się, panie Chyży. Dostawy trzeba realizować, nie ma rady. Miasto potrzebuje mięsa — powiedział tonem urzędowym.

— Tak, tak — chłop kiwał głową, na którą padał teraz cień lampy.

— Jutro — gospodyni pogłaskała delikatnie główkę śpiącego dziecka. Zerknęła na mnie.

Gdy pożegnaliśmy się z gospodarzem, nauczycielka spytała cicho męża.

— A co z jęczmieniem? — W jej głosie brzmiał niepokój.

— Witka mi pożycz — rzekł szybko. Chrząknął, trącając mnie łokciem.

Odchrząknąłem.

— To dobrze, że Witka — ucieszyła się nauczycielka.



Mimo wszystko kierownik był zdenerwowany, lewa strona jego twarzy skurczyła się, pojawiły się na niej zmarszczki.

Dygając na progu weszliśmy we trójkę do ciemnej sieni. Rozległo się przeraźliwe miauknięcie.

— Nadepnąłem kotu na ogon — roześmiała się nauczycielka, a jej mąż wpil się paznokciami w swoją rękę. Dygotał.

Mineło kilka miesięcy. Pewnego dnia spotkałem go w hallu dworca w P. przed kasą. Stał za mną na końcu bardzo długiej kolejki. Miał na sobie prochowiec koloru trawy i czapkę z okutym daszkiem, nad którym krzyżowały się trąbki. Uśmiechnąłem się, pozdrawiając go. Pokazałem dopiero co kupiony bilet, chcąc dać mu do zrozumienia, że mógłbym go wyręczyć. Może mnie poznał, bo w jego oczach zamigotało pewne ożywienie, ale zaraz lewe oko wydłużyło się i

Włodzimierz Scisłowski

W Warszawie

— Do you speak English? — spytał dziewczynę.
— No — kiwnęła, zerkając ciekawie.
Nierażony — tłumaczył godzinę,
jakie wszystko tu piękne w Warszawie.

Po francusku, po duńsku, po włosku,
(w każdym umiał powiedzieć słów nieco...)
A ta milczy ze zmarszczką na nosku,
i minuty wciąż leca i leca...

Zrozpaczony więc, wziął ją pod rękę —
— Das ist Palast — pokazał na chmury
i zanucił pod nosem piosenkę,
Kiedy ona patrzyła do góry.

Zauważył, że ładnie się śmieje,
i tak jakby coś w sercu... tak prawie...
Więc ją powiódł milcząc w Aleje,
gwiazdy łowić w Łazienkach na stawie.

W kręte ścieżki cieniami zasnuł
weszli milcząc — ławeczkę odkryli...
— Och, komary — szepnęła z wyrzutem.
— Bo tu woda — potwierdził po chwili.

TO I OWO

W budzie francuskim brak
środków na rozwój nauk astro-
nomicznych... za to na uzbroje-
nie wydaje się ASTRONO-
MICZNE sumy.
(wg „Krokodyla“ opr. Erjot)



Bez słów



— Pan Kowalski był pierwszy, panie doktorze!

Paweł Rewicz

Żniwny harmonogram

Cześć, obywatelu prze-
wodniczący spółdziel-
ni produkcyjnej! Przyjechali-
my do was po linii akcji żniw-
no — omlotowej, w ramach łącz-
ności miasta ze wsią, w wyni-
ku entuzjastycznie podjętego
zobowiązania przez pracow-
ników departamentu, którego je-
stem dyrektorem.

Ekipa nasza składa się z:
mojej sekretarki osobistej, sze-
fa kancelarii do spraw wagi
szczegółowej, pięciu naczelnik-
ów resortowych wydziałów,
jedenastu kierowników sekcji,
28 referentów oraz czterech
stenografów i siedmiu maszy-
nistek. Zabrałiśmy również z
sobą meteorologa, podręczną
stację radiową, transporter, bi-
bliobus bogato zaopatrzony w
działa klasyków greckich oraz
wykwintną kuchnię polową ze
szlachetnym wyszynkiem.

Zespół nasz pomagać wam
będzie w oparciu o plan, który
został opracowany przez na-
szych wybitnych specjalistów.
Pozwolę sobie zacytować frag-
menty ciekawszych harmono-
gramów. A więc harmonogram
numer pierwszy, część wstęp-
na — prace techniczno — orga-
nizacyjno — praktyczne, punkt
A: założenie na najwyższym i
odpowiednio ocenionym pa-
górku bazy operacyjnej dla
sztabu akcji. Podpunkt a ma-
le: skonstruowanie z części pre-
fabrykowanych pomieszczeń
dla mnie, dla mojej sekretarki,
wieży obserwacyjnej dla
meteorologa oraz baraków po-
mocniczych dla operatywu biu-
rowego. Podpunkt b małe: e-
lektryfikacja, kanalizacja i ra-

diofonizacja bazy, założenie
na polach sygnalizacji świetl-
nej i akustycznej.

Widzę po pańskiej twarzy,
obywatelu przewodniczący, że
zdumiewają was te nowator-
skie metody prowadzenia ak-
cji żniwnej. He, he! To do-
piero początek. Proszę słuchać
dalej.

Harmonogram numer dwa,
punkt pierwszy, B duże: Mon-
taż dziesięciu lotnych zmecha-
nizowanych zespołów biuro-
wych. Na czym polegać będzie
praca takiego zespołu? Otóż
dwa traktory ciągną platformę,
na której umieszcimy referen-
tów przy biurkach w ilości za-
leżnej od wielkości danej sek-
cji. Traktory z platformami bę-
dą się posuwać równolegle z
traktorami ciągnącymi żniw-
niarki. Referenci przydzieleni do
danej brygady żniwnej piszą
na bieżąco sprawozdania z
przebiegu sprzętu, które na-
stępnie specjaliści łącznicy prze-
każą do kierowników sekcji.
Kierownicy przy pomocy sy-
gnalizacji świetlnej nadadzą
sprawozdania do naczelników,
którzy po skorygowaniu złożą
je na moje ręce.

Nie zapomnieliśmy natural-
nie o rozrywkach dla żniw-
niarzy. Harmonogram numer
trzy, punkt H, przewiduje bu-
dowę estrad tanecznych po
dwóch stronach pola. O, spojrz-
cie na plan sytuacyjny obywa-
tela przewodniczący. Mądrze
pomyślane, co? Brygady żniw-
ne bez względu na to, w któ-
rą stronę się posuwają, zawa-
sze widzieć będą występy arty-
styczne. Proponujemy przy-
tem, aby sprzęt przeprowadza-
no na dwie zmiany. Pierwsza
zmiana kosi — druga tańczy i
śpiewa. Druga kosi — pierw-
sza śpiewa i tańczy.

Te harmonogramy musimy
naturalnie doprowadzić do

świadomości każdego żniw-
niarza i każdej żniwarki. W tym
celu proponuję przeprowadze-
nie specjalnej akcji przygo-
tawczej, kampanii informacyj-
nej, która poprzedzi prace
techniczno — organizacyjno — pra-
ktyczne, według następujące-
go kalendarzyka: Poniedziałek
— narada robocza kierowni-
ctwa w celu opracowania planu
szczegółowego do planu ramo-
wego. Wtorek — odprawa dys-
kusyjna nad planami ze żniw-
niarzami. Środa — kursy kon-
ferencyjne, czwartek — semina-
rium, piątek — egzamin i
wyręczenie dyplomów... sobo-
ta... Chcieliście coś powiedzieć
obywatelu przewodniczący?

— Tak, chciałem! Dzisiaj
mamy poniedziałek! Zakończe-
nie żniw w spółdzielni plaro-
waliśmy na jutro, ale jak się
zaraz weźmiemy do roboty i
pomoczek nam choćby przy
ustawianiu snopków zdążymy i
dzisiaj!

W Hanowerze (Niemcy
zach.) odbył się rewizjoni-
styczny zjazd „żniwkostwa
ślazaków”, w którym po raz
pierwszy uczestniczyli
przedstawiciele emigracji
polskiej.



— Może w ten sposób uda
nam się powrócić do naszych
majątków!
Rys. Zbigniew Ziomecki

Fotograf — amator



RYSZARD PODLEWSKI

FRASZKI

FRASZKOPISARZ Z NAZWISKIEM

Napiszę fraszkę, a pod to wszystko,
zamiast pointy — swoje nazwisko.

FELIETONISZCIE

Cała korzyść z twoich przytyków:
— honorarium za artykuł.

PŁOTKARSKA REGUŁA

„Z pierwszej ręki” miewa wieści,
ten, kto zmyśli je najwcześniej.

SERGIUSZ MICHAŁKOW

ANEGDOTA

Raz naczelnik opowiedział anegdotę —
cały urząd śmiał się do bólu potem,
tylko jeden nie chodził w transie,
słuchał, słuchał — lecz jakoś nie śmiał się.
— Was nie śmieszy? — sąsiad pyta czule,
— Nie, w ogóle,
bo: humoru nie widzę tu wcale.
— Jak to? Czemu?
— Ja nie pracuję w tym wydziale.

Tłum. J. RATAJCZAK

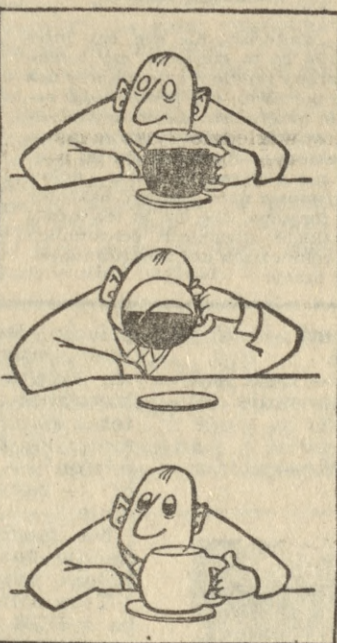
Pigułki

Niech diabeł porwie tego stróża, chrapie tak
głośno, że całą wieś rozbudzi — narzekal zło-
dziez włamując się do GS-u.

Czy nie zechciałabyś Maniu zostać moją
wdową? — oświadczał się 80-letni staruszek
20-letniej pannie.

Starym kawalerem zostaje zazwyczaj czło-
wiek albo zbyt nieporadny albo zbyt sprytny.

Niekiedy nieoczekiwana wizyta gościem w
gardle staje. (Erjot)



Bez podpisu

Emerich Robo

Sześćdziesiąt pereł

Gdy Mr. Jack Browner —
dyrektor „Continental
Bank” — przeczytał do końca
list polecający swego przyja-
ciela handlowego w Londynie
Sir Roger Howartha, nie mógł
jeszcze oczywiście wiedzieć,
że cała sprawa polega na fał-
szerstwie. Dwaj nieznanzi dzeń
telmeni, którzy mu ów list
przez woźnego przestali, cze-
kali w przedpokoju.

— Proszę, niech wejdą! —
wydał Mr. Browner polecenie
przez telefon wewnętrzny.

Do gabinetu weszli dwaj e-
legancko ubrani panowie i
przedstawili się: Baronet
Highbury i Honorable Twingisham.
W mgnieniu oka znik-
nęła ich wytworność. Honora-
ble wyciągnął z kieszeni pisto-
let, przyłożył go do brzucha
pana Brownera i powiedział:

— Przy pierwszym niepo-
trzebnym słowie, podziurawię
pana na sito...!

Mister Browner pojął, że u-
legł misternie obmyślanej mi-
styfikacji. Milczał.

Baronet był bardzo uprzej-
my i wydał mu kilka poleceń. kawa włożyć do każdego po-
— Pan uda się teraz z nami jedynego futerału, który
i powie swoim ludziom, że za-
znajduje się u prawej nogi

mierza nam pokazać miasto.
Samochód czeka przed ban-
kiem...

Mister Browner okazał się
posłuszny jak małe dziecko.

Jeszcze tego samego wieczo-
ra otrzymała pani Browner
list oraz dwa kosze, pełne go-
łębi pocztowych. List zawierał
treść nader lakoniczną: „Dro-
ga, pani Browner. Jesteśmy w
posiadaniu Pani męża, a Pani
z kolei posiada sześćdziesiąt
naszych gołębi. Przypadkowo
taką samą ilość pereł zawiera



Nowela sensacyjna

poszczególnego gołębia, jedna
ze wspomnianych pereł. Jeżeli
okaże się, że gołębie nie przy-
łączy do nas we wczesnych go-
dzinach rannych, wówczas
zmuszeni będziemy, niestety,
Pani mężowi poderżnąć gar-
dło. Jednocześnie uprzejmie
donosimy, że mister Browner
został o tym poinformowany i
wyrażamy głęboką nadzieję,
że zaoszczędzi Pani nam i so-
bie... ostateczności. Wracając
jeszcze do gołębi, to prosimy
wypuścić je z chwilą nastania
zmroku”.

Wpiew doznała pani Brow-
ner szoku, a następnie przywo-
łała policję. Nadjechał inspek-
tor Jim Loy. Wszedł, dotknął
ręką kapelusza i zaraz poddał
list drobiazgowym badaniom.

— Do zapadnięcia zmroku
pozostała nam jeszcze pełna
godzina czasu! — powiedział
inspektor. — Proszę dać mi
perły, aby można było z nich
przygotować przesyłki dla go-
łębi...

— Nie ma więc żadnego in-
nego wyjścia? — dopytywała
pani Browner wielce rozczaro-
wana.

— Nie posiadamy żadnej in-
nej możliwości! — zaprzeczył
ostatnie gołębie. Były wyraź-

inspektor głową i wzdygnął
ramionami.

Wziął z sobą gołębie, nie
zapominając również o per-
łach. Pani Browner długo sta-
ła w miejscu oburzona, my-
śląc: „W jakim celu wołałam
w takim razie policję?”

Tymczasem Baronet, Hono-
rable, kierowca samochodu o-
raz Mister Browner, któremu
usta zalepiłono lekooplastem,
siedzieli w ustronnej leśnej
chacie, czekając na zbliżający
się świt. Dodajmy, że miejsce
to nie było oznaczone na żad-
nej porządnej mapie przedsta-
wiającej stan Kentucky. Trzej
pierwsi wymienieni palili pa-
pierosy a jedynie Mister
Browner, z uwagi na leuko-
plast, pozbawiony był tej przy-
jemności.

Około godziny piątej rano
nadleciały pierwsze gołębie.
Przyjął je Honorable, przesu-
kując skrupulatnie poszcze-
gólne futeralki umieszczone u
prawej nogi gołębi; w każ-
dym znajdowała się piękna
perła. Nad podziw umiejętnie
i z dużym znanstwem próbo-
wał Honorable każdą perłę i
w końcu przemówił do Mister
Brownera:

— Tak, perły są prawdzi-
we...! Mam wrażenie, że wy-
jdzie pan z tej opresji cało, Mi-
ster Browner!

O szóstej rano zjawiły się
ostatnie gołębie. Były wyraź-

nie zmęczone. Słońce stało już
wysoko, gdy Honorable, Baro-
net oraz kierowca, łącznie z
sześćdziesięcioma perłami war-
tości 75 tysięcy dolarów, za-
jeli miejsca w samochodzie.
Mister Brownera pozostawili



w chacie z zaklejonymi usta-
mi zapewniając go jednocześnie
bardzo uprzejmie, że nie
omieszkają poinformować pa-
ni Browner o idyllicznym miej-
scu pobytu jej ukochanego a
raczej... cennego męża. Wyru-
szyli w doskonałym humo-
rach, jak czynią to zwykle
mężczyźni, którzy uporali się
z kawałkiem ładnej roboty.

Po dwóch milach wyboistej
drogi wydostali się na gład-
ką betonową szosę i naciśnięli
na gaz. Wkrótce jednak, kie-
rowca poczuł się zmuszonym
przełożyć stopę na pedał ha-
mulcowy. Droga była zatara-
sowana. Na domiar za wyso-
ką barykadą ujrzeni grupę po-
licjantów, więc skwapliwie
podnieśli w górę ręce.

— No, tak! A teraz pragnę-
liśmy się dowiedzieć, w jaki
sposób zostaliśmy nakryci? —
pytał grzecznie Twingisham
w dyrekcji policji miasta Pitts-
burg, gdy zostały zakończone
przesłuchania.

Inspektor Jim Loy przesunął
papierosa w ustach.

— Początkowo, — wycedził
— nie wiedziałem, od czego za-
cząć. Potem jednak przyszło
mi na myśl, że przecież nie
wszystkie gołębie muszą star-
tować z jednego miejsca i do
tego jeszcze o jednej porze...
Nakazałem więc rozmieścić je
w promieniu osiemdziesięciu
mil posługując się w tym ce-
lu naszymi ludźmi zaopatrzo-
nymi w motocykle. Gdy pier-
wszy zmierzch zaczął opadać,
wypuścili oni gołębie. Należy
dodać, że było jeszcze o tyle
jasno, aby uważnie i przy
pomocy kompasów obserwo-
wać kierunek lotu gołębi. W
przeciągu czterdziestu minut
otrzymałem sześćdziesiąt te-
lefonicznych meldunków. Oczy-
wiście, kierunki te naniósł na
mapę. Gdzie wszystkie linie
zszły się koncentrycznie,
tam, niewątpliwie, trzeba by-
ło was szukać...! — Inspektor
Jim Loy zapalił nowego papie-
rosa. — I, jak widzicie, spotka-
liśmy się wszyscy...

Według „Młoda Fronta”

Opr. M. J.